

PAŃSTWO POTRZEBUJE PIENIĘDZY I WYMYŚLA PRZEPISY. PŁACĄ FIRMY

Rozmowa z Markiem Goliszewskim, prezesem Business Centre Club, o tym, czego dziś boją się przedsiębiorcy: solidarnej odpowiedzialności za nadużycia z VAT-em, sankcji, niepewnego i dziurawego prawa

Agnieszka Domka-Rybka

agnieszka.domka@pomorska.pl

Niedawno spotkał się Pan z kujawsko-pomorskimi przedsiębiorcami, w nowej siedzibie Łoży Bydgoskiej BCC - Western Hotel i Restauracja w Osielsku. Rozmawialiście na temat: „Najważniejsze szanse i zagrożenia dla przedsiębiorców w latach 2017-2018”. Jakie są te szanse, a jakie zagrożenia?

Szanse to na pewno inwestycje zapowiadane przez wicepremiera Mateusza Morawieckiego i te, które się realizują. Ale z jednej strony mamy ponad 4-procentowy wzrost gospodarczy, a z drugiej obniżenie inwestycji prywatnych do 11 procent. To jest bardzo niepokojące, na co zresztą wskazują także przedsiębiorcy z Kujaw i Pomorza, z którymi miałem przyjemność się spotkać.

Mateusz Morawiecki włączył się w pomoc dla bydgoskiej Pesy, która, jak wiadomo, ma problemy z płynnością finansową, przez co trudno jej realizować kontrakty i podpisywać nowe umowy. Jak Pan ocenia, to pomoże naszemu producentowi pojazdów szynowych?

Jeżeli już włączył się wicepremier, to poczekajmy na efekty. Mam nadzieję, że coś z tego wyjdzie. Jeśli jednak ta firma będzie miała kłopoty dalej, włączy się Business Centre Club.

Wicepremier mocno promuje Konstytucję biznesu i dużo mówi o zawartych w niej rozwiązaniach, jego zdaniem fundamentalnie ważnych. Rząd już przyjął ów pakiet ustaw. Konstytucja biznesu ma wejść w życie w marcu przyszłego roku i wzmocnić klimat dla firm w naszym kraju, spowodować wzrost działalności inwestycyjnej, przedsiębiorczości i dobrobytu Polaków. Zgadza się Pan? Czy brzmi to raczej jak huraoptymizm?



MARK GOLIŚEWSKI: - PRAWO GOSPODARCZE JEST TWORZONE BEZ KONSULTACJI SPOŁECZNYCH

Nie wiem, jak będzie, ale na razie przedsiębiorcy mają do czynienia z dosyć opresyjnymi przepisami, jak między innymi solidarna odpowiedzialność za nadużycia z VAT-em, 25 lat więzienia dla tych, którzy te nadużycia robią, wstrzymywaniem zwrotu należnego VAT-u i tak dalej, i tak dalej. Prawo jest wciąż niepewne i niespójne.

Minister rozwoju i finansów chwali się, że ściągalność podatku od towarów i usług jest wyższa o 20 miliardów złotych i że do największych sukcesów rządów PiS należy „uszczelnienie luki VAT”. Nie czujemy się, że ma to wpływ na codzienne funkcjonowanie firm. Jak większa ściągalność VAT przeszkadza im w prowadzeniu biznesu?

Zacznijmy od tego, że polskie firmy nie są jeszcze bardzo bogate. To przedsiębiorstwa, które inwestują i finansują swoją działalność dzięki płynności finansowej. Jeżeli tej płynności nie mają, bo jest zachwiana dlatego, że urząd skarbowy nie zawraca 5, 10, 15 milionów

złotych VAT-u na czas, ponieważ ma jakieś wątpliwości, na co zezwala mu prawo, to wówczas firma nie może się rozwijać. Z tego właśnie powodu, że nie ma pieniędzy.

Barier biurokratycznych ubyto czy wręcz przeciwnie, jest ich więcej?

Powiem tak: bariery utrzymują się na tym samym poziomie. Najbardziej martwi nas, że jest tworzone w Sejmie nowe prawo gospodarcze, które - w gruncie rzeczy - powinno ułatwiać prowadzenie działalności, a właśnie na inwestycjach prywatnych stoi potęga gospodarcza państwa.

Tymczasem to prawo jest tworzone - znowu! - bez konsultacji społecznych. Nawet w Radzie Dialogu Społecznego jest ich za mało. Narzekają na to nie tylko pracodawcy, bo skarżą się również związki zawodowe. To prawo jest dziurawe, niespójne, niekompatybilne i mamy zbyt dużo sankcji, których przedsiębiorcy zwyczajnie się boją.

Wiem, że przedsiębiorcom nie podoba się również, że rząd, i też oczywiście wcześniej, z góry narzuca im, ile mają płacić minimalnie. Dziś to jest 2 tys. zł brutto miesięcznie oraz 13 zł brutto za godzinę na umowie-zleceniu.

Polski pracodawca naprawdę chciałby płacić nawet 30 zł na godzinę czy 5 tys. zł miesięcznie. Pod warunkiem, że później fiskus nie złupi go tak bardzo, że będzie musiał zwolnić część załogi. Zabraknie mu pieniędzy na inwestycje, będzie musiał podnieść ceny dla konsumentów lub, w najgorszym scenariuszu, zamknąć firmę.

Zamiast tego należy np. ograniczyć wydawanie pieniędzy z państwowej kasy, co wiąże się z deficytem sektora finansów publicznych. Deficyt to efekt między innymi obietnic społecznych, na które potrzeba dużo pieniędzy. Państwo je pożycza, by zaspokoić potrzeby obywateli i obietnice wyborcze. Tyle tylko że to się dokonuje

- w dłuższym okresie - kosztem płacy pracowniczej. Kiedy państwo nie ma gotówki, sięga do kieszeni przedsiębiorców. Tak jest najprościej. Wymyśla więc nowe przepisy, na podstawie których rosną koszty prowadzenia firm. Ich właściciele muszą płacić coraz więcej i więcej.

Może płata minimalna w Polsce powinna być uzależniona od rozwoju danego regionu? Kujawsko-Pomorskie odstaje od innych, a najniższe wynagrodzenie jest u nas identyczne, jak choćby w Warszawie.

Jestem absolutnym przeciwnikiem płacy